

1945. O TRAGEDII ŚLĄSKIEJ WIEMY CORAZ WIĘCEJ

# Szpitalnicy

[Andrzej Jarczewski](#)

Groby szanować, ale pamięć – zachować. Tak w najkrótszych słowach można by opisać stan śląskiego ducha w 60 lat po przetoczeniu się przez nasze ziemie frontu. Po krótkiej radości w domach polskich i długiej rozpacz we wszystkich domach. Całe dziesięciolecia o przeżytej traumie nie rozmawiano. To było zbyt bolesne. Ale od kilkunastu lat wolno o tym pisać. Otwierają się kolejne archiwa, szuflady i usta. A do solidnych badań zabrało się pokolenie najmłodszych historyków.

W przeciwieństwie do ich starszych kolegów, nieraz z profesorskim tytułem, nie można ich sensownie zapytać, dlaczego tyle lat milczeli, pisali o sprawach drugorzędnych lub wręcz zakłamywali historię na partyjne zamówienie. Ci młodzi badacze nie muszą się usprawiedliwiać. Oni po prostu opisują zdarzenia tak, jak to wynika z niedostępnych w PRL-u dokumentów, samodzielnie zdobywanych relacji najstarszych świadków, rodzinnych zdjęć i listów, nad którymi tyle wylano łez... Plon ich pracy jest ważny i ciekawy. Wiele publikują, również w „Śląsku”. Tu spróbuję wydobyć tylko dwa wątki: los śląskich rodzin i morale władz.

A oto pięć książek, które w ostatnich miesiącach wzbogaciły naszą wiedzę o wydarzeniach z roku 1945 i z lat następnych (tym razem te właśnie książki są najważniejsze, więc wymieniam je na początku, nie w przypisach).

1. **Bogusław Tracz**, *Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945*. Jest to wydana w 2004 r. przez Muzeum w Gliwicach 232-stronicowa monografia, dotycząca wszystkich bolesnych zagadnień: ostatnich dni rządów nazistów w Gliwicach, zajęcia miasta przez Armię Czerwoną w styczniu, życia pod rządami komendatury sowieckiej, przejścia administracji przez Polaków i trudów następnych miesięcy. Nakład – 1.000 egz. – błyskawicznie wyczerpany, będzie dodruk.

2. **Zbigniew Gołasz**, *Śląska tragedia w Zabrze w 1945 r. Internowania i deportacje*. Pomnikowe dzieło, zawierające spis 8.775 osób internowanych, w tym 5.750 internowanych, którzy zostali wywiezieni do ZSRR z terenów, należących dziś do Zabrza. 70-stronicowe wprowadzenie pozwala każdemu nazwisku przypisać różny, ale zawsze straszny los. Księga wydana przez Muzeum w Zabrzu w roku 2005.

3. *Deportacje Górnoszlązaków do ZSRR w 1945 roku*, red. **Adam Dziurok i Marcin Niedurny**. Osiem referatów różnych autorów, podejmujących główne aspekty tytułowych zdarzeń. Punkt po punkcie, zbrodnia po zbrodni – spokojna, naukowa narracja, której jednak nie można czytać bez dłuższych przerw na opanowanie wzruszenia. Instytut Pamięci Narodowej, Katowice 2004.

4. *Rok 1945 w województwie śląsko-dąbrowskim*, red. **Andrzej Topol**. Praca naukowa Uniwersytetu Śląskiego z r. 2004. Siedmiu autorów przedstawia główne zagadnienia na szerszym, regionalnym tle. Bez tego dzieła zrozumienie wydarzeń, dziejących się w poszczególnych miastach, byłoby niepełne.

5. **Zygmunt Woźniczka**, *Katowice 1945-1950*, wydany przez Muzeum Historii Katowic opis życia stolicy województwa w pierwszym pięcioleciu Polski Ludowej, Katowice 2004. Nakład – 300 egz. – wydaje się kompletnym nieporozumieniem. Książka, bez przeczytania której żaden katowiczanie nie powinien otrzymać matury.

## Rodziny bez ojców

Wszystkie lata czterdzieste i większość pięćdziesiątych to czas zły dla śląskich rodzin. Bogusław Tracz tak rozpoczyna ten wątek: *Coraz więcej mężczyzn powoływano do wojska, zwłaszcza po ataku Niemiec na ZSRR w 1941 r. I dalej: (...) z miesiąca na miesiąc widywano w mieście mniej mężczyzn. Ci, którzy wracali do domów, byli ranni bądź okaleczeni (...)*. To samo widzi Horst Bienek w powieści „Ziemia i ogień”. Rodziny niepełne, chłopcy wychowywani bez ojcowskiej ręki, panny bez szans na wydanie. I jeszcze kobiety zatrudniane w niemieckim przemyśle na „męskich” stanowiskach, a za drucianą lub niewidoczną siatką jeńcy, którymi uzupełniano brak siły roboczej. To zaczęło się już wtedy – w czasie wojny i z powodu wojny.

Gdy w styczniu 1945 zbliżała się Armia Czerwona – w śląskich miastach prawie nie było młodych zdrowych mężczyzn. A tych, co zostali (górnicy, kolejarze), czekał straszny los. Już na miesiąc przed styczniową ofensywą Państwowy Komitet Obrony ZSRR (GOKO) postanowił wywieźć na roboty w ZSRR zdolnych do pracy Niemców ze zdobytych terenów. Deportacje miały objąć mężczyzn w wieku od 17 do 45 lat i kobiety w wieku od 18 do 30 lat (w istocie wywożono osoby i starsze, i młodsze). W uchwale GOKO pisano o Niemcach, ale jej wykonanie powierzono Ławrientijowi Berii. A ten internacjonalista nie przebierał w narodowościach. Nie wypracowano żadnej

metody odróżniania Niemców od Polaków, a interwencje czynników polskich długo zbywano i lekceważono. Plan dostaw realizowano ilościowo. Gdy brakło Niemców, aresztowano Polaków, w tym nawet byłych więźniów niemieckich obozów śmierci.

Sytuację rodzin najlepiej charakteryzuje późniejsze o rok, wysłane do Urzędu Wojewódzkiego sprawozdanie zabrzańskiego starosty, Pawła Dubiela, przytaczane w pracy Zbigniewa Gołasza: *(...) bardzo wiele kobiet zgłosiło się w tutejszym starostwie, prosząc o przepustki na wyjazd do Niemiec. Jako powód podawały wszystkie bardzo ciężkie położenie materialne. Przesłuchując każdą z osobna stwierdziłem, że kobiety te, mając każda kilkoro dzieci na utrzymaniu, znajdują się w skrajnej nędzy, w sytuacji bez wyjścia. Mężowie ich znajdują się albo na pracach przymusowych w Rosji, o których nie mają żadnych wiadomości, względnie powołani swego czasu do armii niemieckiej zginęli na froncie albo też dostali się gdzieś do niewoli. Kobiety te, dopóki coś jeszcze posiadały, sprzedały, byle tylko móc utrzymać swe dzieci i siebie (...). Kiedy im tłumaczę, że przepustek żadnych się nie wydaje, zrezygnowane odpowiadają, że nie mogą dłużej patrzeć na swoje źle odziane i głodne dzieci i są zmuszone po prostu najpierw je, a potem same siebie pozbawić życia (...). Kobiety te to wszystko zweryfikowane Polki.*

Rodziny nie tylko nie miały ojców, ale i nie miały matek, które zmuszone były mieć się jakiegokolwiek zajęcia, dającego choć minimalny zarobek. Często były to ciężkie prace fizyczne na dole kopalni, cenione przez kobiety ze względu na możliwość otrzymywania kartek na żywność. Co mogły w tym czasie robić dzieci? Dodajmy – dzieci głodne, źle ubrane i pozbawione wzorów wychowawczych. Na jakie dno upodlenia codziennie schodziły?

To są rzeczy tak straszne, że zwykłymi słowami nie da się tego wyrazić. I faktycznie – brak relacji. Wiemy, że tak było, ślady widać w pamiętnikach, ale nie w literaturze ani w filmie. I chyba już dokładnych relacji nie odnajdziemy. Zostały wyparte, zastąpione przyjemniejszymi wspomnieniami i zabrane do grobu.

A kopalnie musiały fedrować! Zdrowych górników wywieziono, ktoś więc musiał przyjść na ich miejsce, by wyprodukować choćby te trzynaście milionów ton węgla rocznie, które trzeba było oddać Związkowi Radzieckiemu po dolarze za tonę (cena rynkowa była wtedy dziesięciokrotnie wyższa). Oczywiście – kraj potrzebował znacznie więcej węgla. To był absolutnie strategiczny surowiec. Bez węgla nie można było nawet myśleć o odbudowie zniszczonej wojną Polski. Zatrudniano więc na dole kobiety. Zatrudniano jeńców, gdzieś tam również wolnych górników narodowości niemieckiej, polskich więźniów, a w końcu i żołnierzy.

Ale górnictwo to nie jest zawód do przyuczenia. Potrzebni byli prawdziwi fachowcy, a ostatni zasób kadr, jakim wtedy dysponowaliśmy, stanowili górnicy, którzy jeszcze przed wojną i w czasie wojny znaleźli pracę w kopalniach północnej Francji, Niemiec i Belgii. Trzeba było ich sprowadzić, a to oznaczało... wyrzucić z zakładowych mieszkań rodziny, w których nie było górników. I te najciężej doświadczone kobiety z dziećmi i z chorymi rodzicami lub z mężem kaleką – przenoszono do najgorszych lokali. Ale i to nie koniec gehenny śląskich rodzin.

Zacytujmy jeszcze jedno sprawozdanie, opublikowane przez Gołasa, tym razem z Rokitnicy, gdzie internowano niemal 25% mieszkańców (dokładnie: 1.832 spośród 7.844).

*Jeśli chodzi o liczne rodziny, których mężowie zostali zabrani na roboty przymusowe przez wojska radzieckie (...) to nie mają one prawa według obowiązujących przepisów do korzystania z przydziału i dlatego nie otrzymują kartek żywnościowych. Matka, np., której mąż był powstańcem śląskim, a który obecnie nie z własnej winy znajduje się na robotach w głębi Rosji, posiadająca na swoim utrzymaniu cztery, względnie więcej drobnych dzieci, nie otrzymuje kart żywnościowych tylko dlatego, że nie ma dla niej pracy, względnie, że jako matka licznego rodzeństwa nie może po prostu podjąć żadnej pracy. Ta kategoria opuszczonych domaga się przydziałów żywnościowych chociażby kategorii II. Skutki niedożywienia w tych rodzinach to tyfus, świerzb, który nabiera w gminie tutejszej rozmiarów epidemii, skrofuloza u dzieci, suchoty a co za tym idzie wzrastająca liczba zgonów z miesiąca na miesiąc.*

## Postrach miasta

Bogusław Tracz przypomina w swej książce słowo, które chyba nigdzie w Polsce nie jest wypowiedane z taką odrazą i niewygasłą trwogą jak w Gliwicach. Groza i przekleństwo tego miasta – **szpitalnicy**. By zrozumieć, o co chodzi, warto przypomnieć, że Gliwice zostały zdobyte przez Armię Czerwoną jako pierwsze duże miasto śląskie. Obyło się bez większych zniszczeń. Kominy fabryczne dymią, szpitale pracują, węgla pod dostatkiem, wiele nowoczesnych szkół i innych dobrze ogrzewanych obiektów: idealne miejsce na utworzenie miasta-szpitala dla armii, którą czekała coraz krwawsza walka o Odrę i Berlin.

Tak też się stało. W szpitalach i szkołach urządzono miejsca dla 17.000 chorych żołnierzy. Ciężko ranni umierali. Do dziś samorząd gliwicki utrzymuje wielki cmentarz, gdzie złożono prochy 2.454 żołnierzy radzieckich, których pierwsze groby znajdowały się w różnych częściach miasta i powiatu. Kwatery są odnawiane, opiekują się nimi harcerze z gliwickiego hufca ZHP, szkoły i zwykli mieszkańcy. Ci, którzy ginęli w tej strasznej wojnie – i Rosjanie, i Niemcy – mają w Polsce swoje nekropolie. I są one szanowane. A kto szanuje groby Ślązaków na nieludzkiej ziemi? Kto je wskaże?...

W gliwickich szpitalach przebywali też krasnoarmiejcy lekko ranni i zwykli dekonnicy. To oni byli postrachem miasta, które nadało im, wypowiedane ze zgrozą, miano **szpitalników**. Wyobraźmy sobie ozdowieńców, którym w szpitalu zaczyna się nudzić, a jeszcze mają parę dni przepustki. Co robią, gdy komendant na wszystko pozwala? To samo od wieków. A wiedzą, że **gorod Glajwic** jest pierwszym na ich trasie miastem, które przed wojną leżało w granicach hitlerowskich Niemiec. Zwycięzcy, zdobywcy... Bo przecież nie wyzwolicieli. Ogrom gwałtów, grabieży i rozbojów trudno wręcz sobie dziś wyobrazić. Przez cały rok zdarzały się też morderstwa, choć nie miały one skali tak masowej, jak w pierwszych dniach po zajęciu miasta. W maju z ręki żołnierza radzieckiego zginął nawet wiceprezydent Gliwic, Tadeusz Gruszczyński, który usiłował bronić napastowanej kobiety (do dziś ulica, gdzie to się zdarzyło, nosi jego imię).

Szpitalnicy wieczorami wychodzili ze szpitali. W szynkach, z pepeszami i metodycznie ulica po ulicy, dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu... Szukali wódki, kobiet, złota, zegarków... Co noc przez wiele miesięcy. Co noc inna wataha. Gdy ktoś się sprzeciwiał lub choćby próbował

się bronić – ginął. A nie wszędzie nawet miał kto się sprzeciwiać. Ci mężczyźni, którzy nie zostali wcieleni do Wehrmachtu, zwłaszcza górnicy, niedługo cieszyli się wolnością. Oszustwa, jakimi ich zwabiano na punkty zborne, warunki, w jakich byli przetrzymywani i transportowani, i miejsca w ZSRR, do których ich wywieziono – to główne tematy i ważne, nowe ustalenia, poczynione przez cytowanych tu autorów. Tego nie można streścić w paru zdaniach. Dobrze, że te książki zostały napisane! Powinny być dostępne w każdej bibliotece szkolnej.

Ale nie tylko szpitalnicy grasowali po miastach i osiedlach. Bandy dezerterskie niemieckie, radzieckie i również polskich pustoszyły wsie, zabierając na przednówku ostatnią żywność i bydło, bo konie zostały już wcześniej zarekwirowane przez obydwie armie. Do tego szabrownicy cywilni, o których od dawna wiemy chyba wszystko. Jeszcze w maju, cytowany przez Tracza starosta gliwicki Paweł Marquart pisze do wojewody: (...) *Bandytami rabują bydło, nierogaciznę, ubrania i wszystko, co im pod rękę popadnie, przy czym dość często przyjeżdżają na miejsce rabunku samochodami, czołgami i na tych samochodach wywożą zrabowany łup w niewiadomym kierunku. Ofiarami napadów rabunkowych i gwałtów padają obywatele bez względu na narodowość.*

Jeżeli do rabunku wykorzystywano czołgi, to nie mogły to być akcje bez wiedzy, akceptacji, czy wręcz rozkazu najwyższego lokalnego dowództwa Armii Czerwonej. Dalej gliwicki starosta pisze: *W dniu 26 maja 1945 r. został doszczętnie obrabowany sołtys i kierownik szkoły w Nieborowicach; w Szynwałdzie zdarzył się wypadek ściągania odzieży z dzieci szkolnych, udających się do szkoły. Sprawcami wyżej wymienionych wypadków byli osobnicy ubrani w mundury żołnierzy sowieckich.*

## Morale władz

Jeszcze do niedawna dominował pogląd, że nowa władza, która instalowała się na zdobytych terenach to byli komunistyczni degeneraci, którzy od początku stosowali bezwzględne metody według leninowskich wzorców. Na tle tego poglądu zaskakuje sympatia, jaką autorzy omawianych tu dzieł obdarzają pierwszych starostów, wójtów, burmistrzów prezydentów i wojewodów, którzy w sąsiedztwie bezwzględnych i wrogich komendantów sowieckich organizowali administrację, nastawioną prawie wyłącznie na obsługę najpilniejszych potrzeb mieszkańców.

Książka Tracza jest wręcz pomnikiem, wystawionym Wincentemu Szpaltowskiemu, dzielnemu pierwszemu prezydentowi Gliwic. Książka Gołasza w najlepszym świetle przedstawia pierwszego starostę zabrzańskiego, Pawła Dubiela. Również inni samorządowcy, właściwie bez wyjątku, przedstawiani są w wymienionych wyżej książkach jako ludzie prawi, odważni, mądrzy i oddani społecznościom, za które przyjęli odpowiedzialność. Nie ponoszą oni winy za deportacje, gdyż Rosjanie najpierw wywozili górników, zwłaszcza z Bytomia, Gliwic i Zabrze, a dopiero później pozwalali tworzyć tam administrację polską.

To jest nowe spostrzeżenie. Bo staremu, choć było identyczne, jakoś nie dowierzaliśmy. Autorzy wysoko oceniają pracę samorządów, ale nie ukrywają znanego faktu, że o demokracji mowy wtedy nie było. Wielu działaczy politycznych komuniści więzili a nawet zabijali, innych nie dopuszczali do żadnych stanowisk. A mimo to – w pierwszym okresie wojewoda Aleksander Zawadzki przytomnie korzystał z osób doświadczonych, przymykając oko na ich polityczną przeszłość.

Na przykład Wincenty Szpaltowski, mianowany prezydentem Gliwic, był chrześcijańskim demokratą, przedwojennym burmistrzem Królewskiej Huty (Chorzów), a w czasie wojny – 1944 r. – delegatem rządu londyńskiego na Śląsk. Na wszelki wypadek Zawadzki obstawił jednak Szpaltowskiego posłusznymi komunistami, którzy mieli przy nim nauczyć się administracji i po pół roku – odsunąć go w cień. (Tracz dodaje, że Szpaltowski przed objęciem prezydentury nazywał się Spaltenstein, miał pochodzenie austriackie, ale w czasie wojny odmówił podpisania DVL, co skutkowało osadzeniem go w Dachau, a później i w innych obozach koncentracyjnych).

Właściwa władza instalowała się gdzie indziej. Jedyną ochronę zdrowych młodych mężczyzn przed wywózką do ZSRR, dawało zapisanie się do milicji i do PPR. A najbardziej lokowali się w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie kadry kierownicze zdominowane były przez Rosjan i Żydów, dla których Śląsk był tylko etapem odreagowania za krzywdy, wyrządzone przez Niemców. Stalin, twórczo rozwijając dzieło carskiej ochrony, pilnował, by w trójce: Polacy-Niemcy-Żydzi nie zabrakło celowo fabrykowanych powodów do wzajemnej niechęci, obawy, czy wręcz nienawiści.

Oficerowie bezpieki przyjechali z daleka, nie rozumieli problemów lokalnych, ale wiedzieli, że najważniejszym wrogiem nie będą teraz Niemcy, lecz Polacy, dążący do odtworzenia ustroju demokratycznego. Budowano więc od podstaw nowy aparat represji: Urząd Bezpieczeństwa, Komisję Specjalną, prokuratury i sądownictwo, wyposażone w nowe, szafujące wyrokami śmierci, prawo. W następnych latach było lepiej pod względem aprowizacyjnym, ale coraz gorzej pod względem politycznym.

Samorządy zlikwidowano, a powstałe w ich miejsce lokalne organy władzy centralnej obsadzano najgorszym sortem ludzkim. Nie przekreśla to jednak ogromnego dorobku i niepodważalnych zasług starostów i prezydentów, wójtów i burmistrzów, bez których życie na ograbionym z maszyn i mężczyzn Śląsku nie byłoby w roku 1945 możliwe.

## A żyć przecież trzeba

*Po jednej i drugiej stronie wejścia do hotelu „Monopol” długim sznurem siedzą i sterczą pod murem młodzi chłopcy-czyścibuty. Naliczyłem ich 26. Są obdarci i czarni jak węgiel. Zapraszają przechodzących przymilnie, aby sobie pozwolili oczyścić buty. W trakcie czyszczenia dyskretnie zapytuje taki malec, czy „gość nie jest zainteresowany poznaniem ładnej pani”.*

To fragment reportażu z „Gazety Ludowej” (1.04.47), cytowany przez Zygmunta Woźniczkę w książce „Katowice 1945-1950”. Taki obrazek był codziennością jeszcze kilka lat po wojnie.

Utrzymanie się na powierzchni życia wymagało wyrzeczenia się godności ludzkiej nie tylko przez tych malców, ale i przez ich rodziców lub opiekunów. Podobnie – utrzymanie się na powierzchni władzy. Obraz działalności polskich władz samorządowych w pierwszym powojennym okresie jest niemal jednoznacznie pozytywny. Prawdopodobnie wtedy, mając milion sowieckich żołnierzy na karku, w zakątku świata zapomnianym przez aliantów zachodnich, borykając się z brakiem ludzi, maszyn, surowców i żywności – zrobili wszystko, co było w ich mocy.

Ale szybko samorządy zlikwidowano, najlepszych wymieniono na najgorszych, a pozostali zmienili się wewnętrznie. Nie wytrzymali stalinowskiej presji i sami stali się stalinowcami. Mieli również osiągnięcia i niekłamany dorobek, z którego do dziś korzystamy. Ale czy zasługują na cokoły? Po tylu strasznych zbrodniach, które pokrywali milczeniem, usprawiedliwieniem, cenzurą i zakłamaniami? Po tylu politycznych nikczemnościach, których byli aktywnymi współtwórcami?

Jeśli na Śląsku będziemy stawiać kolejne pomniki, to pierwszym powinna być skamieniała matka nad małą trumienką, otoczona przez wianuszek głodnych, schorowanych, bosych i obdartych dzieci. Bo taki obraz Tragedii Śląskiej byłby najprawdziwszy. Wiemy o tym m.in. z relacji starosty bytomskiego, którego sprawozdanie cytuje Jarosław Neja w pracy *Wpływ deportacji Górnoślązaków do ZSRR na życie gospodarcze i społeczne* (referat opublikowany w wymienionej wyżej książce IPN-u).

Po przytoczeniu wypowiedzi starosty bytomskiego z sierpnia 1945 o Matkach-Ślązaczkach – nie dodam już ani słowa.

*Nie posiadają one żadnych środków do życia i zapomóg nie otrzymują. Głód panuje wszędzie, na skutek czego codziennie umiera 2-7 dzieci i to dzieci narodowości polskiej. Wydatki na same trumienki i grabarza wynoszą kilka tysięcy miesięcznie, co strasznie obciąża wydatki gmin i tak nie posiadających gotówki. (...)*

*Codziennie kilkadziesiąt zędniałych matek, przedstawicielki 3, 10 dzieci, bez żadnych środków do życia, puka do drzwi naczelnika Gminy, prosząc o natychmiastową pomoc, bowiem matka z dziećmi zakończy życie śmiercią samobójczą, nie widząc innego wyjścia.*

✱